

Miałam 13 lat...

(Ze wspomnień Zofii Heller z domu Reichel )

© ARCHIWUM WARSZAWY

Sierpień 1944r. Trwało powstanie w Warszawie, która zamieniała się powoli w gruzy. Wola, gdzie mieszkałam wraz z babcią i ciotką, stała w płomieniach. Nieliczni powstańcy zostali zepchnięci w głąb miasta przez nacierające czołgi niemieckie. Pociski nieprzyjacielskiej artylerii dziesiątkowały bohaterów stolicy. Nieprzyjacielskie samoloty nisko latały nad rionącym miastem, słychać było huk bomb, terkotanie karabinów maszynowych. Ukraińcy ( Własowcy - przypis. autora) urządzali polowania na uciekających mieszkańców podpalonych domów strzelali do nich, ograbiali, kobiety gwałcili, mordowali. Byłam półsierotą, moja matka zmarła w 1943r. Wpierw byłam w Domu Dziecka, potem wychowywała mnie babcia. Miałam przyrodnie rodzeństwo. Starszy brat siedemnastoletni, schwytany przez Niemców w łapanie ulicznej zginął w obozie zagłady w Oświęcimiu w 1941r., starsza siostra, Maria w czasie oblawy ulicznej zatrzymana przez Ukraińców została przez nich zgwałcona. Po powrocie do domu zmarła wskutek doznanych obrażeń.

Było to we wrześniu 1941 r. Już po upadku powstania dowiedziałam się śmierci ojca ( zecer z zawodu), zginął w powstaniu od kuli wroga. W drugiej połowie sierpnia w tragicznych dniach powstania wielu mieszkańców Woli, mężczyzn, kobiet, dzieci wywieźli okupanci do obozu przejściowego w Pruszkowie, wśród nich znalazłam się i ja wraz z babcią i ciotką. Wieziono nas bydłocymi wagonami w nieznaną. Stłoczonym w zamkniętych wagonach dokuczał mocno głód, pragnienie. Eskorta nie żałowała nam szturchanców, kopniaków, wyzwisk, nazywano nas warszawskimi bandytami. Dobrze się stało, że nie oddzielono mnie od babci i ciotki, byliśmy razem. W końcu sierpnia transport dotarł do obozu (koncentracyjnego - Buchenwald) przejściowego Belsenbergen. Tu oddzielono mężczyzn od kobiet, dzieci odrywano od matek. Ja miałam trochę szczęścia. Przy podawaniu danych personalnych sfalszowałam metrykę urodze-

nia, doliczyłam do swych 13 lat jeszcze + y, by znaleźć się w grupie kobiet. Ptem wsadzono nas do bydłych wagonów i wieziono nas do obozu koncentracyjnego w Ravensbruck. Ja nie bardzo zdawałam sobie sprawę ze zgrozy swej sytuacji, nieraz zadawałam sobie pytanie: "Co ja Niemcom jestem winna, co im zrobiłam!" Bezsilna nonłakiwałam cichutko. Chciałam żyć, przecież miałam dopiero 13 lat! Nadzieja we mnie wstąpiła, gdy zobaczyłam piękne szpalery róż, okalające obóz. Myślałam o wypoczynku, sytym żołądku. Wydawało mi się, że te piękne kwiaty zapraszają mnie do środka. Tymczasem za bramą obozu... czekały na mnie rozjuszony, kłapiące zębami wilczury, trzymane na smyczy przez Niemki, esesmanki z pejciami w rękach. Na ten wióok zbladłam, chwyciłam kurczowo rękę babci, która drżała. Marzenie o wypoczynku, sytym żołądku przysło jak bańka mydlana. Wśród wrzasków, świstów uderzeń pejców, ujadania psów ustawiano nas w szeregach. Po spisie osobowym zabrano nam własną odzież i poznano nas do łaźni. Byłyśmy nagie. Ja wstydząc się swej nagości schowałam się za plecami babci. Po kąpieli obcięto nam włosy i dano nędzny przydziewek: pasiaki z winkem i literą "P", numerem, buty gumowe, drewniaki, beret. Ja byłam oznaczona numerem 58965. Wyżywienie było liche. Bochenek chleba dla pięć osób. Śniadanie - kawa, istna czarna lura, pajdka chleba, obiad - zupa ze zgniłych jarzyn, kolacja - zupa, w której tu i owądzie pływały kawałki ziemniaków. Pamiętam te straszne dni, kiedy wybuchła w obozie epidemia czerwonki. Latryny były pełne, na drewnianych pryczach w barakach leżało wiele chorych kobiet, S mierz zbierała obfite śniwo. Przerażały mnie selekcje. O tóż co pewien czas wybierano młode kobiety i wstrzykiwano im w ciało zarazki chorób zakaźnych. Były to tzw. eksperymenty lekarskie, a kobiety poddane tym zabiegom zwano "królikami". Ciągłe dręczyła mnie myśl, że i ja mogę być "królikiem". We wrześniu czekał nas transport do Lipska, gdzie znajdował się podobóz obozu koncentracyjnego Buchenwald. W jednym z wagonów umieszczono mnie i babcię. (Ciotkę oddzielono od nas) Zamieszkałyśmy w barakach wojskowych, wyposażonych w piętrowe przyczce, i worki papierowe służące jako "pościel". W Lipsku pracowałyśmy

w zakładach amunicji, należących do firmy Hassack. Pod nadzorem eses-  
 manek, majstrów robiłyśmy wiatraki do granatów. Pracowałyśmy 12 godzin  
 od godz. 6 rano do godz. 18-tej. Tu nosiłam numer obozowy 4586 .  
 Dawano nam lepsze pożywienie, trafiła się i łyżka marmolady i kostka  
 margaryny. Główny majster Niemiec za byle drobne uchybienie bił  
 więźniarki po twarzy, obrzucał wyzwiskami. Do mnie uśmiechnęło się  
 szczęście, bo majster, mój bezpośredni przełożony był człowiekiem  
 dobrym, ochraniał mnie, często podkładał mi jedzenie, w nocy zezwalał  
 na dwugodzinny odpoczynek. Coraz częściej nawiedzały Lipsk nocą sa-  
 moloty angielskie, a we dnie amerykańskie, zrzucając tysiące bomb  
 zapalających i burzących. Patrzyliśmy w górę i wierzyliśmy w bli-  
 ski koniec wojny. I nadszedł dzień wolności. Był kwiecień r. 1945.  
 Nasz podobóz został ewakuowany. Pierwszy transport liczył 5 tys. ko-  
 biet, drugi - 2 tysiące. Szłyśmy szosą piątkami. Gnano nas na wschód,  
 bo z zachodu parła armia amerykańska, goniąc rozbite dywizje hitle-  
 rowskie. Pamiętam, jak w czasie jednego z postojów pobiegłam po wodę,  
 by napoić upadające z sił towarzyszki niedoli, wtedy otrzymałam po-  
 tężnego kopniaka od nadbiegającego rozwścieczonego esesmana, do dziś  
 odczuwam skutki tego kopnięcia. Nie mogących iść dalej rostrzelowano  
 na miejscu. I tak wlokłyśmy się dwa tygodnie, wreszcie uwolniły nas  
 patrole amerykańskie. W obozie amerykańskim nas nakarmiono, dano wypoczynek  
 i oddano w ręce Rosjan. Oddziały amerykańskie się cofnęły, odstupując  
 część zdobytych terenów wschodnim sprzymierzeńcom. Sytuacja nasza się  
 pogorszyła. Kałmucy uważali nas za wrogów. Dali nam do dyspozycji nie  
 kryte wagony towarowe, nie dali nic do jedzenia. W żywność zaopatrywała  
 nas miejscowa ludność. Po wielu dniach nasz pociąg dotarł do War-  
 szawy. (był to czerwiec 1945r.) Dokąd miałam pójść, nie miałam włas-  
 nego kąta. Znalazłam się znów w Domu Dziecka. Później zamieszkałam  
 w Poznaniu u drugiej ciotki, tu skończyłam liceum dla przedszkolank.  
 Obecnie pracuję jako urzędniczka na poczcie, mam upragniony swój dom  
 i dwoje dorosłych dzieci.. Jakżeż smutne było moje dzieciństwo, ciężki  
 los sieroty, której udziałem bieda, poniewierka. Dobrze, że dla moich  
 dzieci los okazał się łaskawszy, mają własny dom, wolną ojczyznę.